

# Z Duende chcę znaczy mogę

Agnieszka Przybyszewska

# 14

## Uliczny grajek

Raz w życiu oddałam ulicznemu gajkowi wszystkie pieniądze. Słuchając go, cała byłam dźwiękiem, zatapiałam się w brzmieniu każdego wyrwanego z głębi trze-  
wi „Aaaj”, tonęłam w melizmatach tak szczerych w bólu, że łzy ciekły po policzkach. I czułam, jak drzenie chropowatego głosu zadrapuje moją duszę, która bezwstydnie wywraca się podszewką bólu na wierzch (tylko zdecydowanie mniej patetycznie: szczerze i bez zająknięcia). Nie było świata. Był człowiek i jego historia. I duende – magiczna siła, o której pisali Lorka i Goethe, niewyrażalna magia, to, co powoduje, że dostajesz gęsiej skórki a włosy stają ci dęba.

W tej ulicznej pieśni było wszystko, co we flamenco pokochałam i za co pewnie wpisano je na Listę Niematerialnego Dziedzictwa Ludzkości: emocje, może nienajpiękniejsze, ale z pewnością szczerze, historia Cyganów, którzy – wygnani z Indii – przez wieki szukali swego miejsca zanim osiedli w Andaluzji. Opowieść o wykluczeniu, walce o byt, godność i człowieczeństwo, historia tych, którzy – zamknięci w gettach na obrzeżach miast, nierzadko pozbawieni środków do życia – bronili swojej tradycji i tożsamości. Z ich bólu i codziennych walk zrodziła się filozofia życia i sztuka, którą podzi-

wiamy na wielkich scenach. Dziś duende i magia flamenco pojawiają się wszędzie tam, gdzie mamy odwagę zawalczyć o to, by naprawić życie. Dowodem – historie moich przyjaciół czy uczniów. Oni też są flamenco<sup>1</sup>.

## Starsza pani i „Moje Dziewczyny”

Yin (jak ją nazywałam) poznałam w Seville, na zajęciach u Manuela Betanzosa, w szkole, do której prowadzą taneczne drogi z całego świata. Doskonale pamiętam seledynowy ręcznik niby niedbale przerzucony przez kark, falbaniastą spódnicę (taką trochę sprzed lat) i krótkie, równiutko obcięte włosy, zaskakująco srebrzyste. Nigdy wcześniej nie widziałam siwej Japonki. Codziennie rano stawiała między zawodowymi tancerzami z Wenezueli, Francji, Brazylii, Norwegii, Niemiec, Polski, Chin czy Korei. Ona jedna czasem mogła coś zrobić inaczej, prościej. Od innych zasad nie było wyjątków. W tej szkole, jeśli chcesz chodzić na zajęcia – akceptujesz reguły Maestro. Tu nie ma, że dasz z siebie „tylko” 120% – Manuel wyciśnie 150% z twojego ciała i jeszcze jakieś 300% z duszy. I nie warto ryzykować stwierdzenia „nie dam rady”.

Ona pewnie też nieraz miała

ochotę cisnąć przepocone buty w kąt i poddać się. Ale dzień w dzień szlifowała z nami technikę. Powtarzała do znudzenia poszczególne kroki, by za tym tysięcznym razem w ruchu nadgarstka znalazła się cała opowieść, by emocje poprowadziły stopę dalej niż wydawało się, że może sięgnąć. Jej plan na starość – nauczyć się wytańczyć własne „ja”, żyć. Z elegancją i wyrazem, o których ja jeszcze przez lata mogę jedynie marzyć.

Takiej samej przesiąkniętej prawdą i doświadczeniem gracji zazdroszczę nieraz moim uczniom. „Moje Dziewczyny” nie tańczą zawodowo. Tańczą pięknie i z pasją. Ale mają też narzeczonych, mężów, wnuki. Podziwiam, jak wkomponowują w swój poukładany, pełen obowiązków codzienny świat kilka godzin zajęć w tygodniu. Bo chcą. I wygrywają swoje małe-wielkie potyczki z „głupią contrą”<sup>2</sup>, z obrotem, który „przecież nigdy nie wyjdzie”.

Czasem im zazdroszczę i boję się, czy po latach też tak skutecznie zawalczę o te kilka „moich chwil”. Też chciałabym emeryturę spędzić w Andaluzji. Nie wiem, co na to ewentualne wnuki, ale wierzę, że z duende – musi się udać. Wierzę, kiedy patrzę na „Moje

<sup>2</sup> Dźwięk znajdujący się w równej odległości rytmicznej od sąsiednich uderzeń podkreślających główny puls, dokładnie w połowie, na „i”.



Dziewczyny”. Kiedy jestem z nich dumna i kiedy dzięki nim w końcu rozumiem, że ani prawdziwe piękno, ani prawdziwe życie wcale nie są idealne.

## Historia Marcina

Marcin dołączył do jednej z moich pierwszy grup. Skrupulatny, systematyczny, zawsze skupiony. Flamenco było wyzwaniem dla niego – on był wyzwaniem dla mnie. Jak powiedzieć komuś z obustronnym ubytkiem słuchu, że tańczy nie do muzyki? Radził sobie, licząc w pamięci; kiedyś tłumaczył mi też, że czuje vibracje rytmu. Dla niego nie było i nie ma walki z „ograniczeniem” – jest radość. „To oczywiste, że nie zatańczę flamenco po rasowemu – wyjaśnia. – Jednak samo obcowanie z tą sztuką wyrabia otwartość i pozwala spojrzeć w głąb siebie samego [...] Jestem szczęśliwy, że potrafię być otwarty wobec tego, co nas otacza, jak i też szczęśliwy ze sobą”.

Flamenco ukształtowało jego charakter, pokazało, jak ważne są emocje. „Niekiedy mam go dość, bo jest nieokiełzane – mówi. – Traktuję je jako radość, swoje wyzwanie bez uporczywego zamęczania się, że coś mi nie wychodzi. Bo kto powiedział, że w życiu wszystko ma być doskonałe? Najważniejsze, by radzić sobie w tej niedoskonałości i to jest mobilizujące. Prawdziwe”.

## Żeby znów móc tańczyć

Ja też wierzę, że flamenco to jedna z najpiękniejszych rzeczy, jakie spotkały mnie w życiu. I też go

czasem nienawidzę. Za to, że nie potrafię (lepiej, równiej), za to, że boli (ze zmęczenia, z przesyty emocji), za to, że nie daję o sobie zapomnieć. Kocham i nienawidzę z całych sił, w tym samym momencie, po ludzku. Wiem, że to ono nauczyło mnie walczyć o to, czego pragnę. Pamiętam łzy, gdy po kontuzji nie mogłam tańczyć przez rok, gdy każdy zwykły krok był ledwo wykonalny a te taneczne – jedynie w snach. I drżenie nóg, gdy po raz pierwszy znów stanęłam na parkiecie. Wiedziałam, że wygrałam. I wtedy było duende.

Dlatego rozumiem łzy w oczach Uli, gdy znów tańcem opowiada o życiu. Pamiętam, jak siedziała zahukana ze stabilizatorem na kolanie. Bo, kiedy zaczynała uczyć i występować, potrafił ją samochód. Sprawca zbiegł z miejsca wypadku. Ona została – z niesprawną nogą, z lekarską obietnicą, że na parkiet nie wróci już nigdy. Cud? Duende. Magia flamenco, która pokazuje, że warto walczyć o marzenia. Piękna w swym dążeniu do ideału i akceptacji normalnej, ludzkiej niedoskonałości. Marcin mówił, że flamenco „to pewnego rodzaju terapia”. Ludzka, dla każdego.

Agnieszka Przybyszewska

Instruktor tańca w Urban Dance Zone  
Ul. Zachodnia 85